



# Teraz My! <sup>4</sup> 2002

Pismo promujące twórczość uczniów  
XXI Liceum Ogólnokształcącego  
im. Hugona Kołłątaja

Witamy Was po wakacjach!

Szczególnie serdecznie pozdrawiamy naszych kolegów z klas pierwszych. Cieszymy się, że do nas dołączyliście. Bez Was było tu pusto. Dopiero teraz życie w „Kołłątaju” wróciło do normy. Życzymy wszystkim powodzenia w nowym roku szkolnym. Jak zwykle zaczynamy od przypomnienia sukcesów naszych kolegów odniesionych w minionym roku:

- XIV Festiwal Poezji w XIV Liceum im. Stanisława Staszica  
**Edyta Jarząb**, kl. 4c - cztery różne nagrody prywatne jurorów oraz propozycje współpracy i publikacji wierszy w różnych czasopismach  
**Mariusz Starostka**, kl. 3g - wyróżnienie  
**Radosław Kaleta**, kl. 4e - wyróżnienie
- XLVII Ogólnopolski Konkurs Recytatorski - Teatr Ochota - Etap Dzielnicowy  
**Władysław Niemyski**, kl. 2a - nagroda  
**Joanna Janicka**, kl. 2b - wyróżnienie  
**Zbigniew Łukowski**, kl. 3a - wyróżnienie
- Konkurs Recytatorski Liceum im. Cypriana Kamila Norwida - Etap Szkolny  
**Joanna Janicka**, kl. 2b - laureatka  
**Renata Malinowska**, kl. 2b - laureatka
- Konkurs Ortograficzny Gminy Warszawa - Centrum - Etap Szkolny  
**Karolina Wełnicka**, kl. 3a - I nagroda  
**Michał Kępień**, kl. 3a - II nagroda  
**Piotr Krasnodębski**, kl. 4c - III nagroda
- VI Ogólnopolski i III Międzynarodowy Festiwal „Jutro Filmu 2002”  
Film pt. „Szalony Klocek Lego 2” w reżyserii **Konrada Szydło** z klasy 4c został zakwalifikowany przez Jury Festiwalowe do pokazu specjalnego w warszawskim kinie „Relax”

Gratulujemy Wam! Trzymamy kciuki, by w tym roku jeszcze liczniejsza

## W tym numerze

### Teraz My!

Numer dwunasty, rok drugi

Opieka dydaktyczna i pedagogiczna:

Grażyna Różewicz

Opieka edytorska:

Aleksandra Wróblewska

Adres internetowy:

<http://liceum21.ids.waw.pl/gazeta.htm>

<b>Michał Lis</b>	<i>Nie istnieje cudzy kłopot</i>	2
<b>Michał Szlęzak</b>	<i>Epilog do „Lalki”</i>	3
<b>Małgorzata Libman</b>	<i>Noc Świętego Jana</i>	7
<b>Hanh Ngan</b>	***	8

grupa Kołłątajowców dołączyła do grona laureatów. Dziękujemy jednocześnie wszystkim autorom, dzięki którym nasze pismo mogło zaprezentować w roku ubiegłym wiele wspaniałych tekstów. Przypominamy także, że łamy naszego pisma czekają na Wasze opowiadania, felietony i eseje. Pamiętajcie, co powiedział Pablo Picasso:

*W czasach współczesnych nie sztuką jest znieść jajko. Sztuką jest je wygdakać.*

Nie musicie tego robić sami. Jesteśmy do dyspozycji

Wasza Redakcja

## Nie istnieje cudzy kłopot

Michał Lis, kl. 3a

*Nie istnieje coś takiego jak cudzy kłopot, a kiedy już człowiek sądzi, że świat go odepchnął, nagle okazuje się, że świat ten jest pełen niezwykłości.*

Zdanie to przyszło do głowy jednemu z bohaterów opowieści p. t. „Kosiarz”, autorstwa brytyjskiego fantastyka-humorysty Terry’ego Pratchett’a. Na pozór wydaje się ono dziwne, jednak po dłuższym rozważaniu można dojść do wniosku, że gdzieś się je już słyszało. W pewnym sensie podobną refleksję sformułowali już starożytni. Epikur z Samos uważał, że prawdziwe szczęście to cieszenie się chwilą i patrzeć z boku na toczące się obok szare, smutne życie. O tym samym jako o „szczęściu widza na widowni” mówił Ernest Renan — filozof pozytywistyczny. Moim zdaniem warto żyć pełnią życia, ale nie do końca. Czasem warto zatrzymać się i rozejrzeć dokoła.

„Kosiarz” to historia opowiadająca o śmierci, którą każdy wyobraża sobie jako istotę w czarnym płaszczu trzymającą kosę i przychodzącą, aby zabrać człowieka do innego świata. W tej historii Azrael — istota nadrzędna, uniwersalna siła sprawcza — który ma władzę nad wszystkim postanawia, że ... śmierć umrze a na jego (u Pratchett’a jest to postać rodzaju męskiego) miejscu pojawi się ktoś nowy.

Kosiarz nie ma wyboru, dlatego decyduje się... przeżyć ostatnie tygodnie podarowanego mu życia. Chce żyć, doświadczyć tego, czego doświadczają ludzie i dowiedzieć się, co czują, gdy przychodzi ich czas. Jest to też opowieść o „nie-umarłym” magu Windle’u Poons’ie, który konając nie odszedł, gdyż Śmierć był już na Ziemi i nie przyszedł po niego. Czarodziej borykał się z odtrąceniem i niezrozumieniem okazywanym, mu przez jeszcze niedawnych przyjaciół. W swej samotności Windle miał dużo czasu do rozmyślenia i właśnie, gdy leżał w trumnie, zakopany pod ziemią, w jakiś paradoksalny sposób uświadomił sobie, że świat potrafi być niezwykły. Niestety, ludzie nie dostrzegają tego, gdyż są zbyt zajęci swym codziennym życiem, tym co w nim zwyczajne i nudne.

Uważam, że to wspaniała refleksja o naszym dzisiejszym świecie, w którym rządzą pieniądze. Czy w naszym powszednim biegu gonimy za czymś pięknym, wartościowym lub poruszającym?

Nie sądzę. Bo czy można za piękną uznać, mniej lub bardziej świadomą, chęć zdobycia władzy za wszelką cenę? Władza i pieniądze. Pieniądze i władza. Tylko to się dzisiaj liczy.

W swojej pogoni zapominamy o rzeczach, które naprawdę niosą radość — bezinteresownej przyjaźni, odwzajemnionej miłości. Świat jest piękny, ale może się stać tak, że nie zdążymy tego zauważyć. Chyba, że nas odepchnie — wtedy się zatrzymamy, ale będzie w nas zbyt wiele goryczy po porażce i odtrąceniu, aby to przyznać. Będzie już za późno. Dlatego tak ważne jest, aby żyć powoli — we własnym tempie, odrzucić pęd, jaki narzuca nam rzeczywistość i cieszyć się wszystkim, co nas otacza. Taką receptę na swoje drugie życie znalazł Windle. Żył dla siebie, swoim własnym rytmem — odrzucił wszystko, co do tej pory zdawało się być ważne i zaczął dostrzegać rzeczy błahe, ale radosne. A kiedy przyszedł wreszcie jego czas, odszedł przekonany, że tych kilka tygodni „życia po życiu” było jego jedynym prawdziwym życiem. Odchodził z poczuciem spełnienia, gdyż przez ten cały okres żył jakby na nowo i nawet niezrozumiany przez innych, czuł się szczęśliwszy. Gdy Śmierć wrócił na swoje miejsce i spojrzał na kłosa zboża falujące na wietrze, zauważył, że ludzie są trochę do nich podobni, ale jak napisał Pratchett: „Ludzie są czymś więcej niż tylko kłosami. Pędzą poprzez swoje ciasne, zatłoczone żywoty, napędzani dosłownie mechanizmami zegarowymi, od brzegu do brzegu wypełniają swoje dni samym wysiłkiem życia. I każde życie trwa tyle samo. Nawet to bardzo długie i to bardzo krótkie. W każdym razie z punktu widzenia wieczności...”

[...] Z punktu widzenia właściciela to dłuższe jest lepsze.”

## Epilog do „Lalki”

Michał Szlęzak, kl. 3e

W małej kawiarence na Krakowskim Przedmieściu klienci pojawiali się i znikali, jakby to była stacja kolei, a nie mała i przytulna knajpka, gdzie utrudzony przechodzień, zwykły obywatel miasta Warszawy, mógł rozprostować swoje umęczone od porannego biegania nogi. Mężowie, synowie i kochankowie, wolni od swoich codziennych obowiązków, z lubością przesiadywali w podobnych lokalach, natomiast ich kobiety tłumnie odwiedzały wówczas pobliskie sklepy.

Wśród pojawiających się ciągle klientów łatwo było odróżnić tych, którzy przebywali tutaj często. Dwaj podstarzali panowie usiedli na swoich stałych miejscach, w kącie kawiarenki i zamówili to, co zwykle — stare piwo, którego recepturę (taka krąży plotka) opracowali agent Szprot i radca Wągrowicz. Prawda to czy nie, nieważne. Ważne, że nareszcie piwo smakuje jak piwo, a nie woda z odrobiną chmielu. Gdy nasi bohaterowie wychylili po dwa kufle, podstarzały Józio dziwnie chwiejnym krokiem podszedł, a raczej przyturlał się do stolika obu panów. A że z reguły nie widział, co ma przed sobą, tak i teraz w porę nie wyhamował i zahaczył o stolik.

— Podać coś, panie redaktorze? Służę piorunem!

— Przynieś no jeszcze piwa. A która to butelka? — Józio pochylił głowę i zaczął liczyć plamy na swoim brudnym fartuchu.

— Według moich obliczeń, ... czwarta, panie redaktorze — powiedział i spojrzał swoimi szlachetnymi oczętami (bo inaczej nazwać ich nie można) prosto w oczy „panu redaktorowi”, który w rzeczywistości tylko w redakcji sprzątał. Ale skoro pięcioletnie tłumaczenia nie dały rady przebić się

do świadomości Józia, cóż mogło zmienić kolejne sprostowanie. W sprawach dotyczących klientów Józio miał wyrobioną opinię i nic nie mogło jej zmienić.

— Przynies więc jeszcze dwa.

— Służę piorunem — usłyszał „redaktor” w odpowiedzi, aby po jakichś dwóch sekundach usłyszeć trzask rozbijanych szklanek.

To też należało do zwyczaju. Bowiem ilekroć Józio starał się, jak za swoich dawnych czasów, wbiec do kuchni z zamówieniem, tylekroć potraçał innych kelnerów (a było ich teraz dwóch) w dosyć wąskim przejściu. Było to całkowicie zrozumiałe, bowiem pechową dwójką byli młodzi chłopcy dorabiający po szkole w kawiarni, którzy nie zakończyli jeszcze fazy wzrostu, więc przez swój brzuch Józio ich po prostu nie mógł widzieć.

Ciekawy był też sposób zapamiętywania zamówień przez Józia. Jak sam mawiał, posługiwał się starą zasadą szyfrowania, użytą po raz pierwszy przez Egipcjan. Chodziło o to, że zamieniało się pierwszą literę ostatniego wyrazu z ostatnią wyrazu pierwszego i tak, po kolei, „szyfrowało” się wiadomość, która naturalnie — gdyby wpadła w ręce wroga — na co Józio był cały czas przygotowany — mogłaby spowodować ogromne kłopoty i narazić ojczyznę na nie wiadomo jakie straty. Wszystko byłoby w porządku, gdyby Józio pamiętał owe nieszczęsne zamówienia lub przynajmniej je zapisywał. Ale nic z tego, jak mawiał pan Deklewski. Tak więc stali klienci nie dziwili się, gdy otrzymywali ciepłe kluski zamiast piwa, rosół zamiast wina czy — co się zdarzyło raz — kredyt na mieszkanie. Te drobne plamki na życiorysie naszego bohatera nie były w stanie zachwiać pozycji, jaką Józio zajmował w życiu towarzyskim miasta. Był osobistością i autorytetem, z którym należało się liczyć. Był też szczególnie wyczulony na krzywdę ludzką, nienawidził kłamstwa, tępił zło i — żeby nie przedłużać tej apoteozy — ze spotkania z Józkiem każdy mógł wynieść coś dobrego.

Znany był w całej Warszawie z tego, że gdy zaczynał swoją opowieść, wszystkie rozmowy w kawiarni milkły, a w dymie cygar i tanich papierosów zaczynały się snuć wywoływane jego głosem obrazy. Raz w tygodniu Józio siadał na krześle przy panach Marcinkowskim i Maciejowskim i dyskutował na temat najświeższych plotek i wieści przeczytanych w gazetach. Nikt się już nie dziwił, skąd Rzecki, przyjaciel Józia, wiedział kiedyś wszystko o swoich współpracownikach.

Dzisiaj był specjalny dzień, bowiem Józio założył, ba, nawet wyprasował czysty fartuch.

A wszystko przez Węgiełka, który wpadłszy wczoraj jak piorun do kawiarenki obwieścił, że Wokulski się odnalazł. Cały i zdrow!!!

Mimo że minął rok od przedwczesnej śmierci Rzeckiego i tragicznego wybuchu w Zasławku, spór o losy Wokulskiego był wciąż żywy. Wiadomość rzucona przez Węgiełka spowodowała, że od samego rana w całej jadłodajni wrzało jak w ulu. Pan radca przekomarzał się z innymi, że to na pewno tylko spekulacje, i że on, Wągrowicz, nie będzie wierzył pogłoskom. Tymczasem niedostrzeżony przez nikogo Wokulski powoli zasiadł do jedyne go wolnego stolika i z prawie niezauważalnym uśmiechem oglądał przedstawienie, jakie rozgrywało się przed jego oczyma. Obie strony podjęły stały spór. Jedni podtrzymywali zdanie radcy — który zdecydowanie twierdził, że Wokulski zwariował i jak to zwykł mawiać: „uleciał w powietrze”. Drudzy — którym przewodził Józio, zapewniali, że Wokulski jest cały i zdrow. Doktor Szuman, powiadomiony przez

Węgielka o tym, co się dzieje, po raz pierwszy od dobrych paru lat odwiedził kawiarnię i z niebywałą energią brał udział w rozmowie, jaka tu się toczyła.

Gdy sytuacja na tyle się zaostrzyła, że — jak to potem określił Józio — wystarczyło iskrę podłożyć, żeby cała buda rozleciała się z hukiem, spór przerwał Wokulski, który swoim spokojnym i opanowanym głosem zapytał nagle:

— A ileż to na mnie postawiliście, szanowni panowie, jeśli można wiedzieć?

Józio powiedział mi potem, że ciszę jaka zaległa, przerwał jako pierwszy doktor Szuman, który ciesząc się niczym dziecko podbiegł do Wokulskiego i uściskał go na tyle mocno, na ile pozwalał mu jego wiek. Potok słów uszczęśliwionego przyjaciela przerwał dopiero sam Stach, który posadził Szumana przy swoim stoliku i półgłosem zaczął mu coś żywo tłumaczyć.

W kawiarence zawrzało. Józio ruszył natychmiast do Wokulskiego, więc wszyscy przezornie odsunęli się na bok. Ale Stach z daleka tylko przywitał się z tymi nielicznymi, którzy w chwilach niedoli nie opuścili go a potem wstał, zapewnił solennie Józia, że jeszcze wróci, po czym wraz z Szumanem udał się do jego mieszkania.

Po drodze Szuman opowiadał Wokulskiemu, co się działo podczas jego długiej nieobecności.

Powoli zapadał zmierzch. Nieliczne grupki przechodniów spieszyły do domów, wystrojone pary wracały z teatrów, ostatnie dorożki przemykały z turkotem kół po wybrukowanych ulicach. Przeszli przez Nowy Świat i zatrzymali się przed świeżo wyremontowaną kamienicą.

Gdy Wokulski stanął na progu mieszkania doktora, nie mógł uwierzyć własnym oczom. Pamiętając starą norę, w której Szuman prowadził swoje badania, teraz oniemiał.

Mieszkanie nigdy nie było duże. Ale teraz jasno pomalowane na słoneczny kolor ściany i ciepłe światło sączące się z mlecznobiałych kul wykwiłtego żyrandola sprawiały, że wydawało się większe i zaskakująco wytworne. Ale najbardziej zachwycały kwiaty, które ułożone w harmonijne, cieszące oko kompozycje stały w wazonach dosłownie wszędzie. Ich łagodna woń upajała i przywoływała jakieś nieokreślone wspomnienia dawno utraconego rajskiego ogrodu.

Stach zdumiał się jeszcze bardziej, gdy Szuman — ten niedbały i wiecznie roztargniony Szuman — po przekroczeniu progu grzecznie zdjął buty, wsunął na stopy kapcie, powiesił płaszcz i spojrzał wyczekująco na Wokulskiego spodziewając się najwyraźniej, że ów zrobi to samo. Całkowicie zdezorientowany Stach, poddał się mieszczańskiemu impulsowi i poszukał wzrokiem domowych pantofli. Pamiętał przecież, że Szuman był w stanie wbiec do swojego ponurego mieszkania prosto z zabłoconej warszawskiej ulicy i nie zdejmując płaszcza rzucić się do swoich notatek a potem pracować całą noc zapominając o Bożym świecie. Widocznie musiało spotkać go coś, co zmieniło jego życie — pomyślał. Zagadka rozwiązała się z chwilą, gdy wkroczyli do pokoju. Na ich powitanie wyszła starsza, ale jeszcze niezwykle interesująca kobieta. Właściwie nie była chyba piękną. Ale w jej spojrzeniu było coś, co przyciągało uwagę i wyraz jej twarzy czyniło wyjątkowo miłym. Szuman zwrócił się do niej z uśmiechem:

— Mileno, poznaj mego najlepszego przyjaciela! Stachu, to moja żona.

— Moje uszanowanie — wyjąkał Wokulski bardzo zmieszany.

— Wybaczcie panowie, ale muszę Was na chwilę opuścić. Wrócę za godzinę lub dwie.

Spojrawszy przyjaźnie na Wokulskiego ubrała się i wyszła. Gdy usiedli w pokoju Szumana, Wokulski nie był pewien, czy zrozumiał dobrze to, co usłyszał przed chwilą.

— Bardzo przepraszam, Michale, ale czy nie powiedziałaś, że ta kobieta jest twoją żoną? — zapytał.

— Owszem — odpowiedział Szuman — Poznałem ją przed pięcioma laty, na wykładzie, jaki zorganizowali młodzi warszawscy studenci. Byłem ciekaw, o czym będzie mowa, więc zdecydowałem, że tam pójde. I wtedy usłyszałem ją. Było to niesłychane przeżycie. Siła, z jaką mówiła, przyciągała słuchaczy jak magnes. Spytałem znajomego, kim ona jest. Odpowiedział, że to pierwsza kobieta, która skończyła medycynę i w hierarchii uniwersyteckiej zaszła tak wysoko. Po zakończeniu seminarium podszedłem do niej i opowiedziałem jej o swoich badaniach ludzkich włosów. Uznała je za niezwykle interesujące i umówiliśmy się. Tak to się zaczęło.

Jest to niezwykła kobieta. Pełna siły i ciepła. Niezwykle inteligentna. Fascynująca! Całe wieczory spędzamy na rozmowach, kłótniach i dyskusjach.

Wokulski słyszał w głosie przyjaciela radosny, młodzieńczy zachwyt.

— Czy więc nadal twierdzisz, stary sceptyku, że idealna miłość do kobiety, to tylko instynkt zachowania gatunku? — spytał kpiąco Stach.

Szuman zmieszał się. Pamiętał, jak niegdyś bezwzględnie drwił z zakochanego przyjaciela próbując go zniechęcić do Izabeli.

— Tak, w pewnych okolicznościach tak. Ale co to jest miłość, Stachu? Kto potrafi ją zdefiniować? Ludzie najczęściej nie odróżniają jej od zauroczenia, ale umysłowym próbom ogarnięcia jej od tysiącleci się wymyka. Ja się po prostu poddałem ...

— ... i wreszcie jesteś szczęśliwy.

— Pomówmy lepiej o tobie — poprosił speszony Szuman.

— Otóż — zaczął Wokulski — gdy ponownie odwiedziłem Zasławek i podłożyłem dynamit pod zamek, z zamiarem skończenia ze sobą, przypadkowo przypomniałem sobie rozmowę Izabeli i Starskiego w pociągu... Przypomniałem sobie! Dobrze! Przecież ja ją znałem na pamięć! Nie było chwili, żebym jej nie pamiętał. No więc, uzmysłowiłem sobie, że jestem niedaleko miejsca, w którym bywaliśmy z Izabelą. Usiadłem na najbliższym pieńku, żeby dać odpocząć nogom. I nagle, nie wiedząc dlaczego, udałem się w stronę, którą widać było poprzez liście krzewów porastających zbocza dolinki. Pomyślałem sobie wtedy o Geistcie i jego blaszce. No wiesz, tej, którą podarowałem Izabeli.

Przecież zarówno Starski, jak i Izabela są, delikatnie mówiąc, ignorantami w dziedzinie nauki i na pewno szukali blaszki na ziemi! Gdy wróciłem do jaskini ze świecą, znalazłem ją od razu. Przywarła do sklepienia jaskini. Gdy szczęśliwy wracałem już z blaszką w dłoni do ruin zamku, przypomniałem sobie o zamiarze zniszczenia ich. Miało to dla mnie znaczenie symboliczne, bowiem od tamtej chwili zostawiałem przeszłość za sobą. Stałem się nowym człowiekiem. Wyjechałem do Paryża, gdzie spędziłem dwa lata pracując u Geista, po czym wróciłem do Warszawy. Pewnego dnia natknąłem się na Ochockiego, idącego Krakowskim Przedmieściem. Mokry śnieg zaczął niemiłosiernie, więc Ochocki szedł z rękami wbitymi w kieszenie, z szalem owiniętym niedbale wokół szyi i patrzył pod nogi.

W pierwszej chwili mnie nie poznał. Stał jak wryty i wyjąkał wreszcie powoli:

— Pan . . . , pan Wokulski?!

— Do usług.

Nie widzieliśmy się długo. Wraciał właśnie z cmentarza, gdzie pochowany jest Rzecki. Na moją prośbę zaprowadził mnie na grób starego przyjaciela. Na nagrobku widniał napis: „Non omnis moriar”.

Wracając, wstąpiliśmy do kawiarni. Wspomniałem o moim zamiarze ponownego wyjazdu do Paryża, o korespondencji z Geistem, po czym zaproponowałem mu, by jechał ze mną. Zgodził się natychmiast. Dopelnienie wszelkich formalności zajęło nam tydzień, drugie tyle czekaliśmy na odpowiedź Geista. Pierwsze dni naszego pobytu w Paryżu spędziliśmy na zwiedzaniu. Ochocki szybko nawiązał mnóstwo znajomości, które znacznie ułatwiły nam załatwianie różnych spraw. Zabraliśmy się ostro do pracy nad wynalazkiem, który uratuje ludzkość od nędzy i wojen. . .

Wokulski i Szumanem rozmawiali jeszcze długo. Później dołączyła do nich pani Milena.

Tymczasem z dala od Warszawy pędziła smutny żywot dawno zapomniana przez wszystkich Izabela. . .

*Ciąg dalszy nastąpi*

## Noc Świętego Jana

Małgorzata Libman, kl. 4d

\* \* \*

Zostanę w łóżku,  
a kwiat paproci znowu zwiędnie;  
jak co roku — nieodnaleziony.  
Nie wyśpię się za dobrze —  
w końcu to najkrótsza noc,  
a i sny teraz letnie, niespokojne.  
Płomień zahuczy  
i szept ognia z suchych ziół — trudno — tylko we mnie.  
A wianki puszczyć w wodę  
ciemną głęboką nieodgadnioną.  
Może ją nazwę kiedyś  
Nie-pamięć.

22. 06. 2001



**Hanh Ngan, kl. 2c**

Otchłań  
 Cisza...  
 Północ wybija dwunastą.  
 Zatapiam się w myślach nieprzezroczystych,  
 Stłumiony płacz — uśpione miasto.

Ktoś się śmiał... aż wszystko stanęło.  
 Nagle! Warkoczem w świat nikomu nieznanym,  
 Wtapia się!  
 Czuję, jak owija me ciało — niczym jedwab.  
 Tak powoli, niespodziewanie,

Jak kamień — rzucony w przepaść,  
 Jak fali wody kołysanie.  
 Do...

Kropla, kamyczek, dwie muszelki,  
 Tyle po Nim jej zostało...  
 I nic ponadto.  
 Żadnych listów, pocałunku,  
 Nic — co by wspominało. Więc skąd się biorą te cierpienia?  
 Czemu patrzy wciąż przed siebie?  
 Za kimś tęskni, kogoś woła...

Odpowiada tylko... cisza.  
 Może jeszcze dziwne echo?  
 Jakże piękne! — tamto lato...  
 Krople wody — stuk... stuk... w okno.

Tyle po Nim pozostało!  
 Tylko Oni w deszczu mokną,  
 Tylko On...  
 Tylko Ona...  
 Tylko ły jej rzęsy srebrzą.

---

**W następnym numerze:**

- Andrzej Wójcik: „Wolę ludzi głupich”
- Anna Szczypczyńska o filmie „Koyaannisquatsi”
- dokończenie „Epilogu do «Lalki»” Michała Szlęzaka
- wiersze Małgorzaty Libman